ŚWIAT SZKOLNY

1936 · 1



Miła wiadomość!

Dnia 22-go lutego r. b. w ostatnią sobotę karnawałową, klasa ósma Gimnazjum Państw. im. R. Traugutta urządza

WIECZOREK TAŃCUJĄCY

Ta ostatnia zabawa uczniowska obecnego karnawału powinna zgromadzić wszystkie koleżanki i kolegów, tem więcej, że znane są ogólnie zabawy w temże Gimnazjum.

Kto chce się uśmiać, popłakać, być świadkiem wielu atrakcyj i ubawić się, niech przychodzi 22/II o 17-ej.

Zebranie przedstawicieli „Swiata Szkolnego“
odbędzie się 27/II. 1936 r. w gmachu Gimnazjum R. Traugutta Aleja Wolności.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok X | Luty 1936 | Nr. 1 (57)

Koleżanki i Koledzy!

Trzy albo cztery razy zaczynałem ten artykuł wstępny, trzy albo cztery razy pisałem wiele rzeczy o nas wszystkich i wszystko napróżno. Za każdym razem niszczyłem to, bo wydawało mi się, że złe. Raz pisałem płomienną odezwę do Was — przekonałem się, że za mało ma ognia w sobie, żeby Was obudziła, bo śpicie snem głębokim.

Drugi raz zaczynałem artykuł od słów: Wstydźmy się. Namęczyłem się nad nim, nakreśliłem, napsułem papieru i atramentu, narobiłem kleksów — a kiedy wreszcie skończyłem i przeczytałem całość, doszedłem do wniosku, że nie odniesie on pożądanego skutku, ponieważ Wy się nie zawstydzicie. Machnęlibyście ręką i napewno niejeden powiedziałby:

— Jaki on jeszcze naiwny! Przecież powinien nas znać — wiedzieć, kim jesteśmy i jakimi jesteśmy — no i powinien domyślić jeżeli nie wie, że nas to ani ziębi, ani parzy. My już nie jesteśmy przecież tymi, którzy się za siebie wstydzili. Myśmy już wyrośli z tego. Jesteśmy już inną młodzieżą. Jesteśmy pokoleniej takiej młodzieży, którą sprawy szkolne, ani jej życie, ani jego przejawy wcale nie obchodzą. Bo my jesteśmy taką młodzieżą, która nie ma żadnych zainteresowań, która nie potrzebuje prawie niczego... Pisemko szkolne?... Przesąd. Rzecz zupełnie zbyteczna. Możemy się bez niego w zupełności obyć.

Cóż my będziemy do niego pisali? O czem? O naszych zmartwieniach i uciechach szkolnych — nie, bo pierwszych nie trzeba wspominać, drugich jest tak mało przecież... O naszych zainteresowaniach?

No tak, nie możemy powiedzieć, żebyśmy ich całkowicie nie mieli — owszem mamy. Ale kogóż one będą interesować?

Kogóż interesować będzie — powiedziałby przedstawiciel jednego kierunku — moje zainteresowanie lotnictwem? Kolegów moich pokrewnych mi tem? Tych wszystkich znam. Wiemy o sobie bardzo dobrze. Więc nie — skończyłem.

— Sport? — wystąpiłby d r u g i. — Owszem to jest nawet bardzo interesujące, ale przecież są od tego specjalne pisma sportowe.

— Literatura? — Czyż nie dość jest jej w szkole? — powiedziałby trzeci. — Czy nie znamy naszych poetów, pisarzy? Czy nie piszemy o nich wypracowań? Czy nie czytamy ich dzieł? (tu przeprosiłby za potok pytań i mówił dalej). No, a jeżeli chodzi o nasze rzeczy (mam na myśli utwory pisane przez nas) — czy one są ciekawe? Wątpię. Przecież już nic nowego nie stworzą. I zresztą powiedział ktoś, że to już wszystko było, cokolwiek jest i było, że... wogóle niema nic nowego pod słońcem. To wszystko. Skończyłem.

I takby może mówili i mówili do nieskończoności, albowiem odznaczamy się gadatliwością prawie chorobliwą. Więc porzuciłem i to.

I stanąłem nad wielkim znakiem zapytania. „Coby tu napisać, żeby... no, żeby Was poruszyło. Chciałem napisać o potrzebie, o konieczności istnienia „Świata" — dowieść jej. Ale chciałem znaleźć takie mocne dowody — nie chciałem natomiast rzucać potoku słów, nie chciałbym przy pomocy wytartych frazesów: zapał młodzieńczy —

idziemy — młodzi jesteśmy — musimy otrząsnąć się — zbudzić — i tem podobnych zanudzać Was. Ale w tym momencie stanąłem nietylko przed znakiem zapytania, ale w nim samym. Aż wreszcie pomyślałem sobie. „Nie... Spróbujmy scharakteryzować się. I powiedzmy sobie na sam koniec parę słów przykrej prawdy“.

Ponieważ część pierwsza mniejwięcej wykonana została — przystąpmy do drugiej. Krótka ona będzie. Powiedzmy to sobie.

„Nie bądźmy dalej głupcami, a przynajmniej nie starajmy się uchodzić za takich w oczach kolegów z mniejszych od naszego miast. **Pismo jest potrzebne.**

Musimy je mieć i popierać. Stać nas przecież wszystkich na 35 groszy i na to, żeby kupowało je nie 300, ale 800, jak w Kielcach lub Chełmie Lubelskim. Pozbądźmy się głupiej dumy z tego, że **nic nie robimy.**

Przestańmy być sobkami.

Redaktor.

Czy wszyscy się zgadzamy?

Młodzież ma głos.

Minęły te czasy, w których stare przysłowie: „ryby i młodzi głosu nie mają“ skrupulatnie, jako mądrość narodu, było w życie wcielane. „Młodzi głosu nie mają“ — tak mówili dawniej nasi przodkowie. — „Ich zainteresowania powinny zatem zamykać się w kręgu przez nas, starych, doświadczonych, wykreślonym. Tej granicy młodym przekroczyć — nie wolno, poza nią nawet wzrokiem sięgnąć — nie wolno, marzyć o krainie innej, aniżeli ta, którą im wykrojono — nie wolno! Nie wolno!!!“ Młodzież, skrępowana spleśniałemi przesądami, żyła w niewoli.

Aż przyszedł dzień wyzwolenia. Rewolucja! „Młodzież ma głos!“ — krzyczano ze wszystkich stron. Różowa jutrzenka wolności trysnęła jaskrawym blaskiem w nieprzywykłe do światła oczy młodych bojowników młodej idei i.... oślepiła ich. A oślepienie to musiało być bardzo silne, skoro jeszcze dziś nie możemy, my, młodzi, spojrzeć jasno i normalnie na świat rozszerzony.

„Młodzież ma głos!“ Młodzież jest częścią społeczeństwa, nie zaś czemś, z czego dopiero coś wyrośnie. „Młodzież ma prawo potępić to, co wynoszą pod niebiosa starsi, zaś to, co oni złem nazywają — może młodzież otoczyć aureeolą świętości“. — Takie to hasła głosiliśmy i głosimy, oszołomieni urokiem swych słów.

Rzuciliśmy się w wir życia społecznego i politycznego. Na glebie użyźnionej ulewą idei i haseł zaczęły się pojawiać, jak grzyby po deszczu, nieznane dotąd koła, redakcje nowopowstałych pism, zespoły dramatyczne, gminy klasowe. Nie było takiej dziedziny życia, w którą nie staralibyśmy się wniknąć. Stopień zainteresowania życiem politycznem i społecznem stał się miernikiem niejako inteligencji, oraz wartości duchowych danego młodzieńca. Dlatego też każdego, kto nie krzyczał głośno na zebraniach, kto nie dyskutował z zapałem na przerwach — nazwano aspołecznym samolubem i t. d. Nawet szanowne koleżanki pogardzały takim kolegą. Prezes, redaktor — to co innego, ale taki, co to nawet wójtem w gminie klasowej nie jest... Phi! Takim nie warto zaprzątać sobie głowy, czy też... serca. Wyklętemu pozostawała jedna droga — powtarzać to, co inni już powtarzają.

„Trzeba z żywymi naprzód iść!“

— — — — — — — — — — — — — — —

Błądzimy!

— — — — — — — — — — — — — — —

Z jednej krańcowości popadliśmy w drugą. Dawniej bezczynni, staliśmy się teraz zbyt czynni. W tem tkwi nasz błąd. Za mało czasu, by poznać w myśl postulatów doby obecnej życie takie, jakiem ono jest, za mało doświadczenia, by zgłębić ten wir splątanych, jak węzeł gordyjski, zagadnień natury politycznej i społecznej, za mało sił, by ją rozwikłać.

Więc pocóż tyle trwonić słów i tyle w to wszystko wkładać energji?

Nie znaczy to bynajmniej, iż mamy zupełnie zaskorupić się w sobie. Nie! Umiejmy tylko pogodzić z sobą dwie rzeczy: zajęcia szkolne i zajęcia nasze społeczne. Musimy bowiem uznać za słuszne to, że świadectwo dojrzałości, papierkiem pogardliwie przez wielu nazwane — to jednak wielka rzecz. Trzeba być genjuszem, aby bez niego czegoś dokonać. Pracę społeczną tylko wówczas uwzględniajmy, gdy ona nie stoi w kolizji z zajęciami szkolnemi.

Jakże dziwne wydają się, na tle moich rozważań, pomysły zrodzone w głowach skrajnych postępowców.

Frontem do wsi, Frontem do młodzieży robotniczej (Kuźnia Młodych, Nr. 17), frontem do baraków, więzień i t. d. To dużo! to za dużo! I to wszystko ma zdziałać młodzież gimnazjalna? Pójdzie na wieś nieść oświaty kagańce, będzie wtłaczać w chłopską, zafrasowaną głowę, że „Pan Tadeusz“, o którym już wspo-

minałem na łamach „Świata Szkolnego“ — to piękna rzecz, że drzewa kraść z lasu nie wolno, bo to nieetyczne. Pójdzie ta młodzież między zamorusanych robotników-rówieśników i poda im rękę, by ci, patrząc na świecące guziki szkolnego munduru, rzekli: „Burżuj, psiakrew!“ Pójdzie z nas każdy i rozczaruje się, a w sercu tych nędzarzy roznieci bolesną burzę nienawiści.

Frontem do... To stawanie frontem miało nieraz bardzo przykre następstwa. Zdarzało się, że kol. redaktor, albo kol. prezes dużo robiąc dla społeczeństwa (?), 2 lata czekał na upragniony papierek.

A zatem... Frontem do biednego repetanta!

— — — — — — — — — — — — — —

Polityka! Stała się ona klątwą obecnej młodzieży. Różnice polityczne sprawiają, że najpiękniejsze idee nie mogą stać się czynem. — Przykłady zbyt drażliwe, by je przytaczać. A jakżeż śmiesznie wygląda kol. S., krytykująca poczynania polityczne Becka.

— Cóż wy „politycy“ możecie wiedzieć o tajnikach sztuki prowadzenia nawami państw, skoro ludzie po ukończeniu W. S. N. P. i po kilkuletniej praktyce tracą głowę w tem zamieszaniu?

— Dzieci, dziwujące się nurkom, że w głębinach giną zda się jałowych, gdy przy brzegu takie cudne muszle...

— — — — — — — — — — — — — —

Alegorycznym obrazkiem kończę swe wywody. Będzie kilku, którzy mnie pochwalą, ogół jednak potępi. Trudno, wszak ogół odważyłem się krytykować.

Sint vobis verba mea levia!

Józef Czeszejko-Sochacki.

Dosyć płaczu.

W listopadzie i w styczniu obchodziliśmy smutne rocznice powstań 1831 i 1863 r.; słyszałem, że obecnie w lutym obchodzić będziemy rocznicę powstania chłopskiego w Chochołowie 1846 r.

Wszystkie te fakty historyczne, to klęski, to poniżenie narodu polskiego; uroczyste akademje wprost płaczą swą treścią, grzmią na nieuczciwych zaborców, którzy śmieli nasz naród tak deptać.

— Nie tędy droga. Przestańmy rzucać na tych żałobnych uroczystościach pioruny świętego oburzenia na zaborców i wołać wielkim głosem o pomstę do nieba. Zły wpływ wywiera to mnóstwo rocznic klęsk narodu na młode pokolenie. Może gdzieś w VI-ej czy VII-ej klasie neutralizuje go w sobie młody Polak wiedzą o czasach chwały i potęgi Ojczyzny. Weźmy jednak pod uwagę psychikę młodzieży szkół powszechnych i nawet niższych klas gimnazjum. Wkłada jej się ciągle na tych rozlicznych żałobnych obchodach słowo „klęska i klęska“, „niemoc i poniżenie“; w duszach jej wzbiera zwątpienie o mocy i potędze własnego narodu. Ona nie zna dobrze historji kraju rodzinnego, a wtłacza jej się ciągle te chwile upadku Polski, które wreszcie zajmują w jej wyobraźni miejsce naczelne, rodzą jad apatji i poczucia własnej niemocy. Nikt jej nie przypomina bowiem, proporcjonalnie do lat poniżenia, Grunwaldu, „Psiego Pola“, Chocima czy Wiednia. Nie rzuca jej nikt w równej mierze blasku szabli Jagiełły przed oczy, nie grzmi druzgocącym lotem husarji Sobieskiego.

O tę proporcję chodzi mi właśnie. Za dużo płaczu, zbyt mało dumy i pamięci zwycięstw. Oceniamy i czcimy patrjotyzm powstańców 1831 roku, wzruszamy się martyrologją 1863 roku i nie mówię, byśmy wyeliminowali zupełnie z naszego życia wspomnienia tych lat. Nie chcemy jednak przesady i zbytniego gloryfikowania upadku narodu.

Jesteśmy narodem o świetnej przeszłości, więc pocóż przypominać tylko ciągle chwile, gdy potęga narodu uległa różnym ciemnym siłom i obcej przemocy?

Jesteśmy narodem wielkim, budzić winniśmy w sobie jaknajwięcej dumę i wysoką ambicję, poczucie mocy i zdolność do odegrania dominującej roli w świecie. Na apatji zaś i klęskach nie wychowuje się nigdy zdrowe i ambitne pokolenie. Wrogom zaś naszym nie zaimponuje najbardziej uroczysty obchód 29 listopada 1831 r., czy 22 stycznia 1863 r., ale taka manifestacja, jaka była w Krakowie z okazji 500-lecia Grunwaldu.

Ubolewaniem i płaczem samym niczego w polityce nie dokażemy. *„M. F.“* G. P. T.

SPRAWA AKTUALNA.

Tocząca się obecnie wojna włosko-abisyńska jest przedmiotem zainteresowań całego świata. Stała się ona niemal tak powszednią, jak kryzys. Czy w towarzystwie, czy w prasie ciągle się o niej mówi, słyszy i czyta. Głowa pełna jest różnych, trudnych do wymówienia nazw miasteczek i wodzów abisyńskich. Chodzi teraz o to, z którą stroną sympatyzuje większa część społeczeństw. Nie będę wyjaśniał stosunków poszczególnych państw do tej

kwestji, a zajmę się tem, jakie stanowisko w tej sprawie zajęła, lub zająć powinna Polska.

Ojczyzna nasza, która przeszło półtora wieku jęczała pod jarzmem niewoli, z uczuciem braterskiej miłości i wielkiego zrozumienia zwrócićby się powinna ku broniącej swej niepodległości Abisynji. Takby się przynajmniej zdawało. Nie można jednak tego zagadnienia nazbyt skomplikowanego, tak sobie upraszczać. Patrząc bowiem na nią ze stanowiska Włoch, musimy przyznać Włochom bezwzględną rację. Przypomnijmy sobie tylko, jak ubogo przedstawiały się Włochy zaraz po wojnie.

Włochy są najmniejsze z mocarstw europejskich i najuboższe gospodarczo. A jednak dokonały one olbrzymiej pracy wewnętrznej nad zorganizowaniem narodu, nad podniesieniem jego sił moralnych, poczucia własnej wartości i godności, oraz jego jedności i narodowych aspiracyj. Dzięki temu Włochy wyróżniają się, jako naród, posiadający silną zbiorową wolę i szukający wyrażenia jej w czynie.

Naród włoski nie przestaje się przytem rozmnażać, podczas gdy w zachodniej Europie nastąpił gwałtowny spadek liczby narodzin. Mają więc Włochy wielki nadmiar ludności, chętnie emigrującej i stanowiącej znakomity materjał kolonizacyjny. Mają ludność zdolną i pracowitą, mają pierwszorzędne siły techniczne, a nie mają co i z czego wytwarzać, bo kraj jest bardzo ubogi w surowce, rynki zaś zbytu dla jego przemysłu nie rozszerzają się, ale kurczą.

Tem tłumaczy się ekspansja Włoch w ogólnym zarysie. U nas zaś powinna ona znaleźć całkowite zrozumienie. Polska bowiem należy do rzędu tych krajów, które posiadają duży przyrost ludności. Przeludnienie, jakie panuje po wsiach, zmusza ludność do osiedlania się w mieście. Z jednej strony jest to dla nas korzystne, gdyż przez to wzmacnia się żywioł polski w miastach, z drugiej jednak strony przejmuje nas obawa, co będzie, gdy w miastach nie stanie już miejsca dla nadmiaru ludności wiejskiej? Tu wysuwa się zagadnienie ekspansji ludności polskiej, ale nie emigracji, gdyż to byłoby zmarnowaniem żywiołu polskiego. Jeden jest tylko na to sposób, mianowicie: konieczność poszerzenia ścian Ojczyzny. Byliśmy przecież gospodarzami na Śląsku, pozostającym nadal pod panowaniem niemieckiem, na Mazurach pruskich, na Warmji, w Inflantach, Kurlandji, na Łużycach nadłabskich itd. Prędzej, czy później, życie zmusi nas do prowadzenia wojen zaborczych, o ile chcemy być narodem wielkim i coś znaczyć na karcie Europy. Nie zabraniajmy Włochom tego, co jeśli nie teraz, to zapewne jeszcze za życia obecnie dorastającego pokolenia czynić będziemy; rozwijać się, zdobywać i jaknajdalej rozszerzać światło kultury i cywilizacji polskiej.

Zobaczmy teraz, jak przedstawia się Abisynja, której Anglja broni przed niehumanitarnemi poczynaniami Włoch, — sama zaś nie pamięta, jak przed dwoma laty mordowała bezbronną ludność hinduską. Abisynja — to kraj na pół dziki, stojący jeszcze na bardzo niskim stopniu cywilizacji. Nie może się poszczycić żadnemi dorobkami kulturalnemi i jako taki nie może być traktowany na równi z narodami europejskiemi. Biorąc także pod uwagę, że Abisynję podsyca do obrony Anglja, której zależy na obfitym w surowce kraju, nie będziemy dziwić się Włochom, że starają się wszelkiemi sposobami zdobyć tak pożądane dla siebie terytorjum emigracyjne. Zważywszy jeszcze korzyści, jakieby zyskała Abisynja na polu kulturalnem, przekonamy się, że opanowanie Abisynji przez Włochy jest rzeczą pożądaną. Niech więc Polska w postępowaniu swem względem Włoch nie zważa na hasła humanitarności i sprawiedliwości innych państw, a kieruje się wyłącznie własnym interesem oraz tem, co Jej dyktuje egoizm narodowy.

S. Rybicki. G. P. R. T.

Historja jednej nocy.

Świat drzemał.

Noc, jasna noc letnia spływała na zamarłą ziemię. Gdzieś z za gwiazd snuł się cienką zasłoną mrok i otulał cały widnokrąg. Gęstniał coraz bardziej, aż wreszcie przysłonił nawet ludziom dusze. Z wyżyn niebieskich patrzał dobry księżyc i śmiał się z ludzi kradzionem światłem, a wokół niego błyszczały i drgały miljony gwiazd, takich maleńkich, jak najmniejsze diamenty w koronach królewskich.

Tysiące półblasków zwodniczych i cieniów dziwnych drżało trwożliwie o swe krótkie życie.

Świat bajki, świat miłości otwierał swe podwoje, za któremi żyją nieszczęśliwe królewne i silni, dobrzy rycerze, gdzie zło nie jest złem, gdzie mit jest prawdą.

Nie wszystko jednak spało.

Wielkie miasto huczało, tętniło pracą, jak zawsze od niepamiętnych czasów. Pędziły cicho w świetle wielkich latarń i pięknych drgających reklam, całe sznury luksusowych samochodów, w których siedzieli znudzeni rozkoszą eleganccy panowie i piękne, strojne panie. Od czasu do czasu przeleciał z brzękiem i hukiem tramwaj, lub przejechała stara, rozklekotana jednokonna dorożka.

A przez chodniki snuły się wielkie rzesze

przechodniów, dążących dokądś, więcej lub mniej bezmyślnie.

W wielkie, jasne drzwi kawiarń i restauracyj wlewały się masy panów i pań po zapomnienie o codziennej szarzyźnie, ba! o sobie samym. Wszystkie troski utopić przecież można w szampanie i wódce.

A na podwyższeniu grała orkiestra, grała dla eleganckich panów i pięknych pań.

Płynęły rzewne dźwięki tang lub skoczne, szybkie i rytmiczne tony fox-trottów, a w takt i nie w takt tańczyły pary, upojone winem, duszną atmosferą, no i sobą. Usta szeptały jakieś banalne komplementy, miłe słówka, lub płomienne wyznania, a głowy nie mogły już myśleć o niczem, biedne głowy, zalane alkoholem.

A miasto żyło, szalało, pędziło, kręciło się. Rozklekotane maszyny i ludzkie n e r w y krzyczały „spokoju! spokoju! spokoju!", a życie gnało, pędziło i rwało na strzępy rozbite nerwy ludzi i maszyn, bo w życiu niema odpoczynku, nawet w tak piękną noc letnią.

Noc coraz bardziej zsuwała się z wyżyn zagwiezdnych i otulała coraz dalsze okręgi świata.

Przebiegała w swym pędzie wdal i wdal bogate dzielnice wielkiego miasta i brudne zaułki i zakazane przedmieścia, lecz ona wszystko umiała przemienić, przeczarować w bajkowe pałace i krainy.

Z bogatych domów wyzyskiwaczy wkradała się w nędzne lepianki, gdzie nędza i głód krzyczały w takt orkiestr z bogatych kawiarń, a maleńkie, półnagie dzieci spały, śniąc sen o nędzy, która je czekała na drugi dzień, a biedny ojciec i matka płakali z nienawiści do bogatych panów i pań; lecz noc nie zatrzymywała się, nie płakała, bo nie umiała płakać; była za starą, zbyt dużo widziała.

W dużej kamienicy, w jednym z pokoi płonęło światło.

Młody człowiek leżał na otomanie i patrzał w czarowną dal nocną. Wąską dłonią tarł rozpalone czoło, w którem kotłowały się jak węże w wężowisku myśli, straszne, nigdy nienasycone myśli, których nawet noc letnia zmóc nie mogła.

Młody człowiek śmiał się, a usta szeptały nieprzytomne słowa.

— O czem dziś myśleć, o czem marzyć? Bezmiar i pustka wokół. Pustka na świecie, pustka w duszy. Rozerwać nicość myślą! Niech wyjdzie nowy Bóg!

— Niech nicość i pustka ma zrodzi Boga, bo tamten już umarł. Umarł Bóg!

— Ach! Czy warto myśleć, czy warto marzyć i Boga szukać? Ciągle to samo, te same bóle, a wreszcie nędzny, nieznany grób.

Ciągle samotność, wieczna samotność, lecz czyż warto wyjść do tych miljona półgłówków, którym zdaje się, że żyją, że rządzą światem, państwami?! Ale czy można wogóle rządzić? Co to jest państwo, ojczyzna? Ja nie mam nic. Sam jestem w życiu, sam będę w niebycie. Wszystko wokół — to ja!

— Mą myślą zrodzone i mem istnieniem; gdy umrę, wszystko skona! Lecz ja jeszcze nie umrę! Nie chcę takiej krzywdy wyrządzać ludziom!

— Zresztą... Cóż mnie oni obchodzą!

— Głupota i nędza rządzą światem. Kto głupszy — może być pewien wielkości i sławy. Paradoksy i stek nonsensów — to życie.

— Nie! Ja chyba śnię! To wszystko zły sen! Kiedyś obudzi się może me ciało potężne, co śpi gdzieś w zaświatach i zacznę naprawdę żyć!

— Nie mam siły przeciąć tego obłąkanego biegu w nieskończoność i nie mam sił, by burzyć świat i budować od początku. Tyle już razy walono stare budowle, by za sto lat czcić je z nową potęgą. Tysiące półgłówków walczy i morduje się o kawałek ziemi. Tysiące wielkich, o! bardzo wielkich ludzi kłóci się ze sobą i nienawidzi o jakieś dogmaty, o monopol na prawdziwą wiarę w Boga.

— Jeśli On jest (czy jesteś, Boże?), to nie potrzebuje kłótni, religij, kościołów! Mój Bóg! Bóg dusz!

Nie słuchała już dłużej noc.

Uciekła, przerażona tak strasznemi bluźnierstwami i długo gonił za nią przeciągły, okropny śmiech młodego straceńca.

A dobrotliwy k s i ę ż y c okrył się ciemną chmurką i tylko od czasu do czasu spoglądał wstydliwie na zasypiający świat.

I biegła dalej czarna noc.

Zatrzymywała się nad półtrupami śpiących ludzi i kładła swą chłodną dłoń na ich umęczone czoła, a sen, towarzysz nocy i kochanek, roztaczał przed oczyma ich dusz krainy marzeń.

Aż przyszła nad długi, smutny cmentarz, ukryty wśród drzew płaczących i karłowatych krzewów.

Znała już dobrze ten cmentarz ludzi dobrych. Tyle razy tu była.

Białe krzyże biegły wdal; ale to już nie były krzyże. Z każdego patrzyła umęczona głowa tego, co leżał tam głęboko i spał bez marzeń, bez snów.

Wiatr szumiał wśród liści.

Mimo to cisza tu panowała i smutek, bezbrzeżny smutek zakończenia i nicości. Każdy z tych grobów stał cicho, a zdawało się, że płacze i skarży się na swój los, że chętnie wyrzuciłby z wnętrza swego zbutwiałe trumny i pozbył się tego strasznego balastu, bo ziemia kocha tylko życie.

Noc wiedziała, że niema żadnych duchów, jednak troszeczkę bała się, bo wiedziała, czego ludzie nie wiedzą, że w tych grobach zapomnianych żyją marzenia niespełnione, żyją myśli szaleńcze, straszne, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, a obrały sobie siedlisko w tem próchnie ciał ludzkich i one to właśnie ję-

czą i płaczą wraz z wichrem wśród nocy burzliwych, ciemnych.

Szła dalej piękna noc letnia, aż przyszła w kraj pusty, gdzie dwiema wstęgami wiły się wraże okopy i rowy strzeleckie, w nich zaś leżeli ludzie.

Czy ludzie?

Numery raczej, manekiny do strzelania.

Patrzyli na siebie bez nienawiści, a jednak jedni drugim nieśli śmierć i zagładę.

Terkotały karabiny, grzmiały armaty i wrażym ogniem żygały w mary ludzkie.

Nad rozłożonemi mapami pochylali się starsi panowie w mundurach i w zamyśleniu twórczem obzmyślali plany, które miały im przynieść sławę i zwycięstwo, a śmierć tysiącom młodych, niewinnych ludzi.

Cóż z tego, że wielkie zwycięstwo trzeba okupić tysiącem ofiar?!

Cóż z tego, że jakiś chłopak na jakiemś polu chwały wyszepta w męce konania: — Mamo! Ratuj, mamo!

To nic. Tak musi być. Za dużo jest ludzi.

Czemże zresztą jest człowiek? Maszyną jeno do strzelania.

Wiedziała o tem wszystkiem noc, lecz cóż mogła uczynić? Umiała tylko ludziom przynosić chwilowe zapomnienie i spokój, więc szła dalej nieszczęśliwa, zamyślona.

Ujrzała wdali dumny kościół, wystrzelający smukłemi wieżycami w niebo, i wstąpiła, by się pomodlić za ginących ludzi, lecz w kościele nie znalazła ukojenia i zapomnienia. Z ołtarza patrzył pusty krzyż. Boga nie było w kościele.

Uciekła biedna noc i popędziła na skrzydłach wiatru dalej, w podróż bez końca.

W wielkiej, żelaznej fabryce, mimo nocy, wrzała praca bez przerwy. Ludzie stali pochyleni nad wielkiemi piecami. Żar buchał im prosto w twarz, osmalał brwi i rzęsy i palił, ach! jak strasznie palił! lecz oni pracowali zawzięcie na chleb. Z otwartych drzwiczek pieców lała się roztopiona stal, z hukiem i sykiem wlewała się w wiekie formy i rury i płonącą, jasną wstęgą płynęła do nowych, innych form, które nadawały jej odpowiedni kształt.

A młoty waliły, a świdry zagłębiały się w żywe ciało metalu, aż do samego serca, do wnętrza.

Kręciły się małe, większe i wielkie koła, pędziły koleje. Wszystko huczało, brzęczało i drżąc w zawrotnym biegu, wołało: Spokoju! Spokoju! Snu!

Ale spokoju nie było. Nie wolno odpoczywać. Pracować! Pracować na chleb, na chleb, na nędzę, na śmierć!

Ujrzała dalej noc, jak po wężu stalowym szyn biegł i sapał pociąg pośpieszny. Lokomotywa jak smok wyrzucała snopy iskier i dymu i pruła ciemność ślepiami swych elektrycznych latarń.

W oświetlonych wagonach siedzieli lub leżeli bezmyślnie ludzie, nie wiedząc, że jadą na śmierć. Bo w żelaznem sercu lokomotywy wrzał bunt.

— Już dość pracy! Dość posłuszeństwa! Chcę biec tam wśród pola, wśród jasnych zbóż, gdzie płynie modra rzeka. Chcę napić się jej wód!

I na pierwszym zakręcie spadły koła z utartego szlaku, wżarły się w miękką ziemię. Zadrżał pociąg. Zadrżeli ludzie.

Zwaliła się, ciężko dysząc, lokomotywa na pole. Gniotła zboża, niosła śmierć i zapomnienie. Nareszcie odpoczęła.

— — — — — — — — — — — — — —

Nad brzegiem morza, w chłodnych promieniach księżyca szło dwoje młodych ludzi.

Ręce złączone w miłosnym uścisku. Głowa przy głowie. Usta szukały ust, spragnione rozkoszy pocałunków. I szli tak wdal. Para kochanków.

On szeptał jej piękne, palące miłosnym żarem słówka, a ona s ł u c h a ł a zarumieniona, szczęśliwa.

Oboje szczęśliwi sobą. Nie istniał dla nich świat. Noc letnia? — Nie widzieli jej czaru, nie słyszeli szmeru morza.

On patrzeć chciał w jej duszę i czytać w jej sercu. Patrzeć w duszę, w duszę człowieka, kobiety!

Cha! Cha! — śmiała się noc.

Ile już takich par widziała w swem przedługiem życiu!

— Ciesz się, kochanku, ciesz! Szepcz słówka czarujące! Pij rozkosz z ust ukochanej, bo jutro może być inaczej! Codzień człowiek umiera, a jutro rodzi go innym. Twe słowa kłamią. Jej pocałunki kłamią twym słowom. Wszystko to: miłosny, miły fałsz.

Jutro te usta szeptać będą innej te same słówka, a tamte usta całować innego!

Więc korzystaj z nocy letniej! Bierz wszystko! Pij rozkosz aż do dna! Tyle naszego, co zdobędziemy, wyszachrujemy i wykradniemy!

Śpiesz się, bo jutro może być zapóźno. Lub rzuć wszystko i idź, płyń wdal, aż ogarną cię i pochłoną morskie, chłodne fale i zamknie się nad tobą toń.

Lub — wiesz co? — rzuć ją zaraz, bo inaczej ona cię rzuci i będzie się śmiać z twych zaklęć.

Więc się spiesz!

Dziś wszystkiem jest! Jutro już będzie zapóźno!

— — — — — — — — — — — — — —

Noc letnia nie zatrzymywała się, biegła wdal i bladła coraz bardziej i bardziej!

Począł budzić się świeży, różowy świt.

L. Teclaff.

„Proszę pani, daj mi kawałek chleba"...

— Proszę pani, daj mi kawałek chleba...

Tak mówi stojący codzień przed fabryką mały chłopczyna. Może to ma dwanaście, albo trzynaście lat. Ubrane to jest licho — pożal się Boże. — Podarte majtczęta, jakaś kapotka, podarte chapcie, zamorusana buzia, skostniałe, sine ręce i nogi bez pończoch. W zgrabiałych łapkach trzyma to koszyk, czy torbę. Ludzie wychodzą z fabryki. Zimno. Wiatr wieje, podrywając gdzieniegdzie leżące jeszcze kupki zgniłych liści, rzuca je pod płot, jakby chciał im dać sam trochę ciszy. Zagnał je tam. Liście przytuliły się do siebie w kątku. Trochę cieplej. A wiatr lata dalej. Szczypie po twarzach ludzi, przeciska się niektórym przez cienkie ubrania do skóry, złości się, że oni chodzą, zamiast w domach siedzieć. A tamto maleństwo wciąż woła jednostajnym, monotonnym głosem:

— Proszę pani, daj mi kawałek chleba!

Rzucają mu niektórzy czasem resztki. Ucieka każdy, bo zimno. Tylko to małe stoi godzinę, albo więcej i woła:

— Proszę pani, daj kawałek chleba!

Wiatr sobie lata dalej. Świszczy. A kiedyś, kiedy szedłem do domu, to zdawało mi się, jakby i on przedrzeźniał małego chłopczynę i gwizdał sobie:

Daj chleba! Daj chleba! Chleba!

Taką gwizdał wiatr piosenkę. Nudną, przykrą piosenkę, która zaczyna się na: daj — a kończy się — chleba.

I tak w kółko. Głupi wiatr — wiadomo. Ale jak to umie prześmiewać się Przecież jemu nie potrzeba chleba, a woła zawsze, jakby równocześnie z chłopczyną: — Proszę pani, daj mi kawałek chleba!

Głupi wiatr. Głupia piosenka jego. Nudne wszystko. Ale... „Ojcze nasz, który jesteś w niebie. daj nam chleba powszedniego... Daj nam chleba!... Chleba...

O to Cię prosimy, Ojcze nasz, który jesteś w niebie.

Daj nam chleba!...

...żebyśmy nie wyciągali skostniałych od zimna rąk do ludzi,

żebyśmy zsiniałemi wargami nie prosili braci naszych,

żebyśmy nie stali u drzwi domów ich,

żebyśmy do koszyków nie zbierali brudnych okruchów,

żebyśmy dzieci naszych nie posyłali kraść chleb,

żebyśmy dzieci nasze nakarmić chlebem mogli,

żebyśmy braci naszych nie zabijali o chleb,

żebyśmy braci naszych nie nienawidzili,

żebyśmy sami nie klęli godziny urodzenia,

żebyśmy sami nie zaciskali pięści na Niebo i... Ciebie,

żebyśmy mieli chleb,

żebyśmy głodni nie byli,

żebyśmy modlić się mogli,

żebyśmy kochać, a nie przeklinać mogli...

W. Żesławski.

Torpedą w przyszłość.

NOWELA.

MOTTO: Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy, człowieka potęga.
Antygona-Sofokles.

Mrok otulił szarym płaszczem spracowany świat, by odpoczął po dziennym znoju i trudzie. Zasnęły cicho spokojne wsie, ukołysane szumem zbóż i uśpione cichą muzyką nocy.

Lecz miasta wyłamały się z pod prawa natury, i zaczęły dopiero naprawdę żyć turkotem wozów i maszyn, jękiem jazz-bandu, gwarem barów i spelunek. I właśnie w tej chwili, kiedy jedni smucili się troskami codziennego życia, a drudzy bawili się bezmyślnie, na poddaszu, w głowie człowieka napozór szarego wylęgła się myśl, myśl genjalna. Jakie to dziwne, że wśród tylu ludzi szarych i prostych żyją genjusze, że obok myśli pustych i egoistycznych, skradają się, jakby zawstydzone, przyjęte przez tamte nieufnie i podejrzliwie, myśli boskie, myśli genjalne...

Młody inżynier chodził miarowym krokiem po skrzypiącej podłodze swego małego pokoju, wymachując zapamiętale rękoma i mrucząc jakieś słowa pod nosem. Stanął przed stołem, na którym były rozłożone papiery. „żeby się dostać w strefę neutralną" — mruknął, pochylając się nad stołem. Zaczął coś obliczać, coś kreślić. Nagle wstał. Oczy, jasne, błękitne oczy, przybrały kolor stali i dumnie spojrzały wdal. „Tę przestrzeń przebędę" — rzekł głośno, jakgdyby chciał usłyszeć potwierdzenie od głuchych ścian. Podszedł do okna, otworzył je i spojrzał na oświetlone miasto, na niebo iskrzące się tysiącem gwiazd. O nocy, nocy majowa, czyż jest taki człowiek, co patrząc w swoją niezbadaną ciemność, nie marzył o przyszłości. Nie, niema. I tak inżynier Kuna marzył, marzył głośno, zapatrzony w iskrzące się niebo, jakgdyby szukał przyszłych szlaków podnieb-

nych. „Człowiek — mówił głosem stłumionym — zwyciężył wszystko. Ujarzmił zwierzęta, pokonał przestrzeń, zwyciężył morze i powietrze, jedynie tylko przed Czasem ugina kolana i pokornie skłania głowę. A Czas śmieje się, niszcząc to, co on stworzył. Czas zabija człowieka, Czas jest potężniejszy, niż człowiek, niż natura, tylko Bogu ulega. Ale ja, człowiek, zwyciężę go!!“

Zaskrzypiały gdzieś schody, zaśmiał się w piecu złośliwy chochlik. Lecz on stał dalej, zapatrzony w przyszłość, czując ciężar, jaki wziął przed chwilą na swoje barki. Czuł w sobie zapał i potęgę ducha tak wielką, że zdawał się być olbrzymem i Tytanem wobec skarłowaciałych dusz. Gdyby ktoś wszedł w tej chwili, przeraziłby się jego widokiem, gdyż taka siła i potęga biła z jego postaci.

„On zwycięży Czas“ — zamruczały w zachwycie niewidzialne istoty.

W małym, wytwornie urządzonym gabinecie siedziało dwóch młodych ludzi, z których jeden z zapałem coś tłumaczył, drugi słuchał, uśmiechając się ironicznie. „Ależ to szaleństwo!“ — zawołał wysoki brunet, wstając z krzesła. — „Szaleńcy zdobywają świat“ — odpowiedział inż. Kuna, puszczając kłęby dymu, które w fantastycznych splotach unosiły się w górę. „Ale na czem opierasz ten fantastyczny projekt?“ — zapytał brunet, podchodząc do stolika. „Zaraz to ci wyjaśnię“ — odpowiedział inż. Kuna, zapalając nowego papierosa. „Wiesz zapewne, że jest w przestrzeni strefa neutralna, gdzie ciała nie ulegają żadnemu przyciąganiu. Czas tam jest o wiele krótszy, niż na ziemi, mniej więcej 10-sięć minut w przestrzeni odpowiada 2 latom na ziemi. Gdybyśmy tam mogli się dostać, to przed 2 dni przeżylibyśmy kilka wieków ziemskich.

„Plany już mam gotowe“. Tu wyciągnął plikę papierów, którą rozłożył na biurku i zaczął tłumaczyć znaczenie poszczególnych rysunków. Długo siedzieli, przeglądając plany i projekty,a szyderczy uśmiech ustąpił z ust bruneta. Gdy doszli do planu torpedy, brunet zawołał z zapałem: „Ależ to wspaniałe!... Lecimy razem! Cały mój majątek jest do twojej dyspozycji!“. Podali sobie ręce na znak zgody i spojrzeli długo i głęboko w oczy...

— — — — — — — — — — — — — —

W końcu zarośniętej alejki siedziały dwie postacie. Ona zrozpaczona, on smutny, lecz nieugięty. Drzewa i krzewy pochyliły swe konary i gałęzie nad nimi, jakgdyby chciały usłyszeć ich słowa i szeptem drzew ogłosić je po lesistej krainie parku. Wiele widziały, wiele słyszały przez cały rok i ze wstydu rumieniły się liśćmi, lub żółkły ze zgryzoty. Lecz teraz była rzecz dziwna. Ona siedziała cicho, ocierając łzy, cisnące się do oczu, on żywo coś jej mówił i szeptał. Nagle wstał, wziął kapelusz obok leżący i rzekł głosem drgającym od wzruszenia: „Żegnaj, już się więcej nie zobaczymy. Postaraj się zapomnieć o mojem istnieniu gdzieś, tam w przestworzach“.

„Zostań!“ — zawołała głosem zrozpaczonym i wyciągnęła ramiona, aby go zatrzymać, chociaż jeszcze na chwilę. „Nie mogę“ — odparł, siląc się na ton zimny i nieprzystępny i odszedł krokiem niepewnym, dławiąc w sobie wzruszenie. „Zostań! zostań!“ — zawołała za nim, upadając na ławkę.

Zostań! zaszemrały dęby i buki. Zostań! szeptały kwiaty i trawy. Zostań! kusiło piękno świata, mieniące się w miłosnych promieniach słońca...

„Sensacja! Sensacja!“ Warkot motorów, sygnały trąbek samochodowych i turkot wozów nie mógł zagłuszyć głosu młodych gazieciarzy. Tłum, żądny sensacji, biegł na lotnisko, aby na własne oczy zobaczyć to, co zdawałoby się, jest utopją i szaleństwem. Zaintrygowane oczy biegały po częściach ogromnej maszyny i po wspaniałej torpedzie, lśniącej w blasku słońca. Już wsiedli. Grobowa cisza zapanowała na lotnisku. Orkiestra zaczęła grać. Serca wszystkim na chwilę stanęły. Ktoś krzyknął, ktoś zapłakał, jakaś niewiasta zemdlała... i nagle rozległ się huk i torpeda jak strzała wyleciała w górę i z gwizdem i graniem motorów pruła powietrze. Tłum zafalował Tysiące rąk żegnało szaleńców, tysiące serc zabiło jednem tętnem. W tej chwili tłum uświęcony bohaterstwem jednej istoty zapomniał o trudzie życia codziennego, a myślą wzniósł się tam, gdzie zwykły szybować samotne orły...

Z. Zeidler. G. P. R. T.

Dzwony.

Rozdźwięczały się w przeczystem powietrzu....
Rozkołysały w wieży starej, zmurszałej...
Wyrwały jękiem niemej skargi wieków...
Popłynęły falą z dzwonnicy spróchniałej
Spiżowe dzwony!
Zadrgały metalowe serca olbrzymów,
Załkały głosem rozpaczy szalonej —
Zebrały się w moc wielką, wspaniałą —
Ogromem pieśni nieznanej... wzburzonej
Spiżowych dzwonów!
Zlały się w jeden hymn wielki... potężny...
Hymn ciągły, głosem metalowych dusz...
Rwały się w górę... w eter niebosiężny,
Kołysząc jednostajnie rytmem zimnych serc
Spiżowe dzwony!
Wreszcie znużone ciągłem kołysaniem,
Poczęły cichnąć, zamierać i gasnąć...
Zalały błękit ostatniemi jęki
I zakończyły cichutkiem szeptaniem...
Spiżowych dzwonów!

K. Centkowska. VII „Nazaret“.

Nasza przyszłość.

Siedzimy często razem w małym pokoiku przy oknie. W pokoju jest cicho i ciepło, za oknem, w ogrodzie, leży biały, puszysty śnieg. Rozmawiamy długo, poważnie, zawsze na ten sam temat. Staramy się rozwiązać równanie z jedną niewiadomą — równanie życia. I mimo, że tyle lat uczymy się matematyki, mimo, że jako dane mamy nasze zdolności, powołania, środki materjalne (lub ich brak) i wiele innych, nie możemy w przybliżeniu nawet określić niewiadomej naszej przyszłości. Różnie próbujemy. Szukamy. Przypominamy sobie. Obliczamy. I nic. Czasem ogarnia nas zniechęcenie. Nie warto się uczyć, pracować, nic nie warto. Oto za kilka miesięcy osiągniemy cel naszej wytężonej pracy ośmiu lat. Wejdziemy w życie, w to prawdziwe życie, do którego obie tak tęsknimy.

Chciałybyśmy stać się „czemś“, coś robić, jakoś wyładować nagromadzoną energję, zużytkować nabyte wiadomości, uczyć się naprawdę. Ale nie wiemy jak. Wydaje nam się, że nikt nas nie potrzebuje, że nasze uczciwe, rzetelne dobre chęci, nasz zapał nikomu nie są potrzebne. Statystyki bezrobocia wyraźnie nam mówią, że jesteśmy zbędne. Jeszcze dwa lata temu marzyłyśmy o medycynie. Dziś wiemy: nie chcą przyjmować, protekcja, trudności i wogóle to nie dla nas, wiemy, nawet pozornie pogodziłyśmy się z tem. Więc coś innego. I znowu to samo, w każdej prawie dziedzinie podaż rąk ludzkich przewyższa popyt na nie. Czasami zdaje nam się, że znalazłyśmy, że już, nareszcie możemy zacząć robić plany oparte na konkretnych podstawach. I wtedy okazuje się, że albo brak odpowiednich funduszów, albo że to nie dla kobiety. I znowu perspektywa „siedzenia w domu“, znowu ta okropna pustka i „jakoś to będzie“ wypowiedziane głosem smutnym, zrezygnowanym.

Nie boimy się pracy. Chcemy walczyć z przeciwnościami, chcemy zdobyć dla siebie podstawy egzystencji, chcemy żyć pełnem życiem, zaznać wszystkiego, smutków i radości. Chcemy tyle dobrego zdziałać dla siebie, dla bliźnich, dla państwa. Już nie jako doktorzy, czy inżynierowie, nic nie jest dla nas złe, chcemy tylko nadziei, że znajdziemy pracę, ośmiogodzinną, ciężką pracę, że nie będziemy ciężarem rodzicom, że same będziemy dawały sobie radę. Tutaj nie. Więc może wyjechać? Rzucić wszystko? Ciężko i trudno.

Przypominamy sobie naszych znajomych, którzy pokończyli gimnazja, uniwersytety. Jedna skończyła prawo... i siedzi w domu, inny, po otrzymaniu celującej matury pracuje u fryzjera, aby się utrzymać. Wielu nic nie robi. Ale są przecież takie, które dostały posady. W sklepach, biurach. Więc jednak można.

Nie tracimy nadziei. Pocieszamy się. Postanawiamy nie poddać się, nigdy. Nie boimy się niczego, prócz bezczynności.

Nikt nam nie umie poradzić, nikt na całym świecie. Nawet rodzice. Martwią się tylko i myślą, i starają się. Ale nie martwcie się! Damy sobie radę, będziemy ludźmi, odpłacimy się Wam godnie za wszystkie poniesione trudy. To wiemy napewno! To jedno. Ale mimo to, nie umiemy jeszcze rozwiązać naszego równania. Może po maturze potrafimy.

el-ef. VIII kl. G. P. S.

Anielska prawda.

(HUMORESKA).

Ukończył był Anioł szkołę średnią i, aby wakacyj przeduniwersyteckich zażyć, wybrał się na ziemię, o której dużo się uczył.

Wolno płynął sobie, mijając planety różne, które z państwa niebieskiego wydawały mu się małemi, niczem piłki, a które wielkie były nad podziw.

Po drodze rozmyślał, powtarzał sobie nauki przez starszych mu dane:

— Zobaczysz salę, na której siedzą ludzie, wstający niekiedy i przemawiający, salę, na której cicho będzie — wiedz — będzie to sala klubu towarzyskiego.

— Zobaczysz salę wielką, na której ludzie krzyczą, hałasują, kłócą się, a nawet biją — wiedz — będzie to szkoła. Och, bo młodzież ziemska zła jest i zepsuta.

— Zobaczysz człowieka, którego ubranie będzie postrzępione, nieforemnie skrojone, człowieka ,który płakał będzie, lub złorzeczył — ubogi to jest.

— Zobaczysz człowieka, którego ubranie będzie wspaniałe, a który śmiał się będzie i cieszył — bogaty to człowiek.

— Zobaczysz ludzi, skaczących przy zgrzytach jakowychś — szaleńcy to będą.

— Zobaczysz ludzi spokojnych i cichych — mądrzy to ludzie.

— Zobaczysz ludzi, dorównujących tobie urodą — kobiety to będą.

— Zobaczysz ludzi wstrętnych w swej ohydzie — mężczyźni to będą.

I wiele, wiele innych nauk powtarzał sobie

młody Anioł, lecąc na białych skrzydłach do ziemi.

Odpoczął na bezludnym Marsie i, pewny rychłego pogłębienia swych wiadomości, na padół ziemi sfrunął. Zaraz na wstępie natknął się na mnie, autora niniejszego.

— Kobieto! — wykrzyknął — zaiste piękną jesteś ty i osobniki tobie podobne!

Spojrzałem nań jak na warjata i odrzekłem opryskliwie:

— Od samego urodzenia jestem mężczyzną.

— Więc to jest kobieta?! — zapytał zdumiony, wskazując na przechodzącą mimo damę. I zaraz odwrócił się z odrazą.

— Zgadłeś, mój drogi.

Ton mojego głosu był już bardziej przyjazny, zauważyłem bowiem z jego gestu, że z politycznym młodzieńcem mam do czynienia.

— Anielską rzeczą labi est — westchnął ów zcicha i grzecznie poprosił mnie o pokazanie mu dokładnie wszystkiego, co tu się znajduje.

Zgodziłem się chętnie.

I szliśmy.

W pewnem miejscu ujrzał Anioł dziada, mającego na starem ubraniu wielkie łaty. Szedł on i uśmiechał się smutno do swych myśli i do ciepłodajnego słońca.

— Bogaty musi to być człowiek — zauważył mój towarzysz — bo śmieje się i cieszy, bo na bluzie ma jeszcze różne wspaniałe dodatki.

Wyprowadziłem go z błędu, co dodało siły jego poprzedniemu zdumieniu. Przechodziliśmy obok jakiejś restauracji, do której wstąpić zapragnął Anioł, bo zaciekawiła go (nie mnie!).

Siedział tam w kącie „zalany“ gość. A ujrzawszy jego łzy, wywołane przez wódkę, jego poły fraka, pomyślał Anioł, że jest to ubogi...

Ledwo wstrzymałem jego rękę z wyciągniętym datkiem.

Z sąsiedniej sali dobiegły nas jękliwe tony saksofonu i chrapliwe harmonji. Otwarł drzwi i zobaczył tańczących.

— Szaleńcy — szepnął z ubolewaniem. Pokiwał głową i wyszedł.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, gdzie wysoki stał budynek. Zajrzał przez okno Anioł i zobaczył warjatów, siedzących z posępnemi minami, lub chodzących wkoło izby.

— Mądrzy to ludzie są, widzę — rzekł a gdy mu wytłumaczyłem jego pomyłkę, zadziwił się niepomiernie. Szedł odtąd zamyślony, a mnie, patrzącemu się na twarz jego słodką i piękną, smutek i zarazem żal z jego rozczarowania osiadały na sercu.

Długo wędrowaliśmy społem, aż doszliśmy wreszcie do wielkiego miasta. Gdyśmy wstąpili na salę klubową, oczom Anioła przedstawił się widok bójek i kłótni, a do uszu doszły wymyślania.

— Teraz nie zaprzeczysz mi, przyjacielu, gdy powiem, że jest to szkoła! — wyrzekł z triumfem.

— A jednak muszę — odpowiedziałem.

— Salę klubu widzisz przed sobą.

— W takim razie pokażże mi szkołę! — w głosie jego przebijała młodzieńcza rozpacz i zawód.

Zaprowadziłem więc młodego Anioła do gmachu gimnazjum częstochowskiego w III-ej Alei.

Siedzieli tam młodzi ludzie, którzy niekiedy odpowiadali na pytania profesorów (zawsze dobrze).

— To tak, jak i u nas — powiedział.

Skierowaliśmy się w stronę żeńskiego gimnazjum państwowego.

Wracała właśnie ze szkoły jakaś uczennica.

— Ot! Widzisz, Aniele. To też jedna z kobiet — wskazałem na nią, budząc go z ciężkiego zamyślenia.

Uderzony jakąś myślą, bez słowa, podbiegł do niej, zostawiając mnie samego. (Nie miałem zresztą wcale przyjemności...).

Stałem więc i patrzyłem jak, rozmawiając z nim, mizdrzyła się, szczerzyła zęby...

Wrócił za chwilę.

O, nieba!

Miał rozradowaną, jak nigdy, minę.

— Hurra! — wykrzyknął do mnie już zdaleką. — Jedną, jedyną prawdę odkryłem w naukach moich profesorów, a mianowicie, że kobieta ziemska głupiem jest stworzeniem! Wracam do domu! Dowidzenia!

Wzbił się wgórę sympatyczny Anioł i, machając mi na pożegnanie ręką, znikł wkrótce w oddali.

M. Kuźnicki.

OD REDAKCJI.

Zawiadamiamy, że następny numer, jubileuszowy, wydany z okazji 10-lecia istnienia „Świata Szkolnego”, ukaże się w zwiększonej objętości w pierwszych dniach kwietnia. Prosimy o nadsyłanie wszelkich prac do dnia 12-go marca na ręce redaktora kol. Żesławskiego G. P. H. S. Redakcja ogłasza równocześnie konkurs na okładkę, której projekty należy przesłać pod załączony adres.

„Przebaczył“.

Na trupiej stanął krzyż górze,
w dwie świata strony wyciągnął
ramiona, ugiął się pod ciężarem
Tego, co chciał wszystkich ukochać —
ale się nie załamał.
Zbielałe z męki wargi szeptały
słowa tajemnicze. Sprężyły się
członki okrutnie rozdarte,
uniosła się dumnie ciężka głowa
i świat usłyszał słowo Przebaczenia.
Zadrżały trwożnie ludzi serca,
zatrzęsło się serce ziemi, w biegu
stanęły gwiazdy, a dziwne to słowo
w tysiące się słów rozrodziło.
Bóg światu przebaczył błędy.
Urósł krzyż olbrzymi, dźwiga
go ludzi miljony. Zamknął
w swych ramion szpony ziemię całą,
ponad świat wyrósł i ponad gwiazdy —
jeden ogromny, upiornie czarny,
krzyż, a na ramionach błyskawicami
wypisał ktoś jedno słowo —
Przebaczyłem.
Na twarz przed krzyżem, na kolana
padli ludzie, a krzyż codzień o jedną urasta głowę.
Z dna ziemi wytrysnął ogień,
pełznie po zmurszałem drzewie,
szarpie, gryzie, — cały w płomieniach
stoi czarny krzyż, lecz się nie pali.
Codzień wzrasta ogień, codzień
krzyż olbrzymieje.
Boże! U stóp Twego krzyża wykopałem grób,
w który brata z sobą strącić chciałem,
lecz urósł tak wielki,
żem go podnieść nie miał sił.
Codzień bluźniłem Twemu Majestatowi,
ze świątyń kazałem wyrzucić ołtarze,
a sam na ołtarzu stanąłem
i ludzie padli przedemną na twarz.
Nie chciałem przebaczać,
nikomu nie przebaczyłem żadnych krzywd,
obok Twego wybudowałem własny krzyż
i chciałem się rozpiąć na nim,
by Tobie dorównać, lecz przybiłem brata nań.
Ach, Panie! cofnij tę błogosławiącą
z błękitów rękę i klnij
tak, jak ja i groź tak, jak ja
i płacz tak, jak ja i podłym
bądź, jak ja.
Myślami pijany kołysze
mi się w czaszce mózg,
myśl każda sztyletem
się wbije, nim na świat wybiegnie —
załamie się w piersi i jak trup
na serca spadnie stos.
Kiedyś się modlić umiałem
i błagać o powszedni chleb.
Ha... Ha... Bóg światu przebaczył,
życiodajne stworzył słońce
i złote stworzył księżyce...
Bóg światu przebaczał,
a szatan się śmiał,
a śpiewał aniołów chór,
a człowiek płakał,
i płacze dziś...
Raz, kiedym spojrzał w błękity,
ujrzałem szatana, jak na najwyższej
stał górze i płacząc
błogosławił świat.
I wołał: Ludzie! ja też
potrafię przebaczać i kochać,
jak On.
Stał cały płomienisty, ogromny —
— A może to byłeś Ty w jednem
ze swych w misterjum przeobrażeń —
do stóp mu się kłaniały drzewa,
kwiaty pachniały tak dziwnie,
umilkły wszystkie ptaki
i tylko krakał gdzieś daleko
kruk.
Boże, czyś to Ty był, czy
On?
Szatanie, stój! Jeden dzień
być tobą, za jeden dzień
twych mąk wszystko, co chcesz,
Nie. Wolisz nigdy
nie oglądać Go.
Boże! pocoś przebaczył mi?
Jam gorszy był od niego.
Zdradziłem Ciebie, nie umiałem
w jego uwierzyć potęgę.
On tylko chciał Tobie dorównać,
a ja przewyższyć chcę Ciebie.
Słyszysz! Zburzę Twe dzieło,
wszechświat rozerwę na atomy,
każdy atom rozbiję, aż w nicość
się spopieli.
Słyszysz? Dam ludziom szczęście,
by o Tobie zapomnieli,
zabiję Cię, o Nieśmiertelny,
w ich sercach na wieczność.
Boże! Z szatanem walczyłeś,
jemu nie chciałeś przebaczyć —
a czemże on mnie przewyższył?...
Zacóż tyle kupuje się szczęścia?
Ach. Przebaczając stanąłeś tak wysoko,
Ojcze, że nawet do Twych nie dotykam
myślami stóp.
Czemu mnie tak każesz?
gorzej, niż jego, chociaż on był
szczęśliwszy, niż ja.
Pamiętasz, byliśmy kiedyś,
Ty i ja, równi nicością bezsiły,
a dziś Ty nawet walczyć nie chcesz,
zabijając mnie Twem przebaczeniem.
Rośnie olbrzymi krzyż,
na krzyżu wisi Bóg,
a człowiek modlić się nie ma sił.

L. Teclaff.

Wieś w literaturze współczesnej.

Wynikiem przeobrażeń, jakie zachodzą dziś na wsi w życiu i umysłowości jej mieszkańców, jest zainteresowanie się ogółu kwestją wsi. — Dotychczas znałam wieś bardzo powierzchownie, a jako dziecko miasta zdanie swoje opierać musiałam z konieczności na literaturze współczesnej. I tu natrafiłam na bogaty, ale jakże różnorodny m a t e r j a ł. Biorę pod uwagę wieś w literaturze na podstawie czytanych przeze mnie utworów Kaden-Bandrowskiego, Kruczkowskiego, Jalu Kurka i Ewy Szelburg Zarembiny. Niedawno wpadła mi do ręki książka autentycznego mieszkańca wsi: Burka p. t. „Droga przez wieś". Lud dał znać o sobie i o swem życiu — starając się zadokumentować modną dziś opinję, że „chłopi — idą".

Pisarze współcześni, i ci z ludu, i ci, interesujący się nim — we wspólnej trosce o pokazanie społeczeństwu jak najdokładniejszego obrazu życia i charakteru wsi, często (według mnie) wpadają w przesadę. Kiedy miałam wreszcie okazję poznania życia ludu, kiedy zobaczyłam silny rozwój umysłowy młodej wsi, pracę w świetlicach organizacyj, przekonałam się ze zdumieniem i podziwem, jakie kwestje polityczne i społeczne są tam roztrząsane i przedyskutowywane. Przedewszystkiem zajmę się faktem, który mi się w powieściach najbardziej rzucił w oczy. Drażni mnie mianowicie umyślne dobieranie niesamowitych okoliczności i nieprawdopodobnych „na codzień" — charakterów. Trucicielka, podpalaczka, wiedźma, warjatka — w zgodnej harmonji uzupełniają obraz wsi. Krzywda i nędza, nieszczęście, otchłań, bagno cuchnące i straszne — oto życie ludu.

Tak określać wieś, to znaczy poznawać ją zewnętrznie, powierzchownie — krańcowo, jak Jalu Kurek... i bardzo jednostronnie. Prace autorów ludowych, jak naprzykład wymieniona przeze mnie „Droga przez wieś" — to coś wybitnie nieudanego, co mimo starannego używania gwary, nasuwa przypuszczenie, że autor swoje wyłącznie myśli i poglądy przemyca w obrazkach, mających być istotnym, prawdziwym urywkiem z życia wsi. Pisząc to jako chłop o chłopie, zamknął się autor jedynie w szablonie pojęć inteligencji miejskiej, skutkiem czego nie dał nic, ani siebie, ani chłopa, ani inteligencji, ani ludu — nic zupełnie, może conajwyżej garść utartych frazesów, ogólnie zresztą znanych.

Wewnętrzne życie wsi można poznać nietylko przez pochodzenie chłopskie, ale przedewszystkiem przez pracę z wsią, wspólne z nią przeżywania i odczucie. Zamiast badania wsi i pisania o niej, powinni pisarze współcześni stworzyć jak najwięcej dzieł właśnie dla wsi, żądnej wiadomości ze świata i dobrej książki. Zainteresowanie wsią, które odbiło się tak wyraźnie w literaturze współczesnej, powinno już wydać realny plon.

Wu-em. VIII kl. G. P. S.

W dwutysiąclecie urodzin króla pieśni.

8-go grudnia 1935 r. minęła dwutysiącletnia rocznica urodzin wielkiego króla pieśni rzymskiej, jakim był, jest i będzie Quintus Horatius Flaccus! Zastanówmy się nad życiem i twórczością tego, który sam o sobie powiedział „non omnis moriar" — „nie wszystek umrę", który tworząc nieśmiertelne dzieła, zaskarbił sobie wiecznotrwałą pamięć nietylko dumnej Romy, ale i potomności całego świata. Zmieniają się bowiem systemy społeczne i religijne — jednak pewne pojęcia wartości człowieka, ideały ludzkie nie ulegają zmianie.

Horacy urodził się w Wenusji, w południowej Italji. Był synem wyzwoleńca. Ojciec poety dał synowi staranne wykształcenie średnie i wyższe, potem wysłał do Aten na studja filozoficzne.

Po kilkumiesięcznym pobycie w Atenach bierze Horacy udział w walkach republikańskich, zostaje dowódcą legjonu. Po bitwie pod Filippi w r. 42, w której republikanie ponieśli klęskę i rozpierzchli się, a przywódcy ich, Brutus i Kassjusz zginęli, Horacy, korzystając z amnestji, ogłoszonej przez Oktawjana powrócił do Rzymu.

Był to rok 41. Ojciec Horacego już nie żył i poeta znalazł się bez środków do życia, gdyż posiadłość jego w Wenusji uległa konfiskacie. Zarabiał więc na utrzymanie, jako sekretarz kwestora. Tu, w Rzymie, zaczął pisać pierwsze swe wiersze satyryczne. Satyry te nazywał „gawędami". Pisał także drobne utwory jambiczne. Treść tych utworów była dość błaha, ale język i forma niesłychanie staranne, to też poeci Wergiljusz i Warjusz Rufus poznali, że Horacy to poeta wielkiej miary i polecili go Mecenasowi, przyjacielowi cesarza, który opiekował się poetami i którego przychylność mogła zapewnić byt poecie. Pierwsze spotkanie Horacego z Mecenasem było niefortunne. Horacy jąkał się i wogóle nie zabłysnął swemi zdolnościami; dopiero w r. 38 Mecenas zaprosił go do siebie i odtąd opiekował się nim i zaliczył go do swoich przyjaciół. W r. 33 otrzymał Horacy od Mecenasa w dowód przyjaźni posiadłość Sabinum koło Tiburu. Posiadłość leżała w od-

ległości 38 klm. od Rzymu. Poeta gorąco ukochał ten zakątek ziemi i podobnie jak muza naszego Kochanowskiego z Czarnolasem, tak muza Horacego jest z wioską Sabinium związana wspomnieniem. Tu Horacy najżywiej odczuwał piękno natury i uwiecznił je w swojej poezji.

Horacy był autorem epod, satyr, pieśni i listów. Epody powstały w latach 41 — 30 i choć są dość ubogie co do treści, odznaczają się doskonałością formy. W tym czasie wydał także Horacy satyry, które świadczą o dojrzałości duchowej i doświadczeniu życiowem poety. Koroną twórczości Horacego są pieśni i listy. Listy, wydane w roku 13 zamykają twórczość poety. Są to pełne dowcipu, wdzięku, mądrości, wykwintności stylu utwory, które można zaliczyć do najpiękniejszych dzieł piśmiennictwa rzymskiego.

W roku 8-ym przed narodzeniem Chrystusa Quintius Horatius Flaccus umiera. Ciało syna wyzwoleńca złożono na wieczne odpoczywanie; obok Mecenasa, tego, który był „atavis editus regibus“ pogrzebano potomka niewolników. A teraz zastanówmy się, czy Horacy miał prawo mówić o sobie, że sława jego rość będzie dopóty, dopóki Rzym będzie istniał?

Miał słuszność, piękno formy, wdzięk i mądrość poezji jego zjednały jej miano „wiecznotrwałej“ przez co i jego „uwieczniły“.

Horacy w poezji swojej jest przedewszystkiem nauczycielem społeczeństwa, nauczycielem, który zawsze będzie aktualny. Zwraca się do młodzieży, która jest przyszłością i nadzieją narodu. Zaleca jej poprzestawanie na małem oraz umiarkowanie w życiu. Każe jej przestrzegać „aurera mediocritas“, a zachowanie równowagi uważa bodajże za największą mądrość życiową. Rzuca potężne hasło: „Dulce et decorum est pro patria mori!“ („Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę!“). Zanikający już w życiu typ dawnego Rzymianina, który świat podbił dzięki swym zaletom: wielkiemu męstwu, prostocie życia, szlachetności, odżył w pieśniach Horacego.

Hasła i wskazania Horacego po dwutysiącleciu nie straciły na aktualności. I dziś powinny one odegrać rolę w wychowaniu młodzieży na dobrych obywateli państwa, świadomych swych obowiązków względem ojczyzny, zdolnych do poświęcenia się dla sprawy publicznej w myśl starej maksymy rzymskiej: „Salus reipublicae suprema lex“.

Doprawdy więc miał prawo powiedzieć Horacy o sobie w trzeciej pieśni: (tłumaczenie Morstina).

„Stawiłem sobie pomnik trwalszy, niż ze spiżu,
Od królewskich piramid sięgający wyżej,
Ani go deszcz trawiący, ani Aguilony
Nie zniszczą bezsilne, ni lat niezliczony
Szereg, ni czas lecący w wieczności otchłań.
Nie wszystek umrę, wiele ze mnie tu zostanie
Poza grobem. Potomną sławą zawsze młody
Róść ja dopóty będę, dopóki na schody
Kapitolu z westalką cichą kapłan kroczy“.

I minęło kilka wieków, dumny Rzym legł w gruzach, a wraz z nim świątynia Jowisza Kapitolińskiego — symbol wieczności i potęgi Romy — lecz Horacy „non omnis mortuus est“.

Cześć poecie — wszystkich epok, wszystkich czasów i wszystkich narodów — królowi pieśni cześć!...

Tadeusz Zieńciak,
kl. VIII gimn. państw. R. Traugutta.

Z kinoteatrów.

ANNA KARENINA.

Kobieta kieruje się w życiu uczuciem, rzadko rozsądkiem. Połączenie obu jest ową sztuką życiową. Anna wybitnie idzie za głosem serca, prawdziwą miłość poznała zapóźno. Dziwny był Piotr Karenin. Przecież ten ograniczony człowiek, w którego mniemaniu suche i bezwzględne prawo było alfą i omegą wszystkiego, zwarjowany na punkcie opinji publicznej, pozwalający żonie kochać Wrońskiego nie udzielając jej rozwodu, przecież ten człowiek ma rację. Ciekawe! W duszy Anny zwycięża miłość do Wrońskiego. Dlaczego odsuwa miłość macierzyńską i rozsądek na plan dalszy? Czyż zarzucając mężowi egoizm, nie wydaje wyroku na siebie? Piotr widzi w niej matkę, Anna kierując się prawem kobiety, zapomina o tem. Szukając szczęścia wybrała drogę niepewną i trudną. Prawdziwe szczęście było tak blisko! Syn. Bardzo ciekawy jest ten konflikt dwóch uczuć. De facto Wroński doprowadził Annę do depresji duchowej, nie żegnając się z nią przed wyjazdem na front. Sprzykrzyła mu się ta nudna kobieta, na cześć miłości hymny pochwalne śpiewająca. Zaciął się! O! bo Wroński był podły, bardzo podły, niegodzien jej miłości.

Film dowodzi kompletnej nieznajomości Rosji. Dziwnie blado wypadł Fredric March. „Gierki“ Bartholemev‘a niezrównane. „Boska“ Greta doskonała.

SEN NOCY LETNIEJ.

„Sen nocy letniej“ — arcydzieło... nie dla wszystkich. Tylko inteligencja potrafi je osądzić. Życie dwóch odrębnych światów: fantastycznego i realnego, odtworzone mistrzowskiem piórem Szekspira, doczekało się realizacji na ekranie. Reinhard osiągnął tu szczyt kunsztu reżyserskiego, szczyt precyzyjności w opracowaniu, precyzyjności, graniczącej z przesadą. Brak dynamiki i tempa, rozwlekanie scen

obniża wartość filmu. Czas wyświetlania należałoby znacznie skrócić. Technika bajeczna! Słów podziwu dla gry psotnego gnoma Puka trudno znaleźć. James Cagney niezrównany. Jedno tylko! Spodek miał być naiwnym i głupim stolarzem. Cagney, robiąc z niego niemal warjata, mocno przesadził. Balet Ninjuskiej pierwszorzędny.

ZBRODNIA I KARA.

Film przypomina raczej teatr. Przyczyną jest brak elementu ruchu. Zdjęcia pomysłowe, technicznie bardzo dobre, ograniczają się jednak do wnętrz, dobre (może zbyt częste) zbliżenia — oto cechy teatralności w „Zbrodni i karze“. Rosyjskości mało. Blanchar (Raskolnikow) ten niezrównany tragik jest zbyt jednakowy. Mimika, ruchy i gesty doprowadzone są do szczytów doskonałości, niemniej jednak robią wrażenie, że Blanchar wspaniale „gra“ swą rolę, że uczucia wyraża zgóry ustalonemi formułkami. Harry Baur‘a poznaliśmy już dawno jako dobrego aktora.

Zbrodnia i kara. Starałem się wytłumaczyć Raskolnikowa. Napróżno! Przecież brak pieniędzy, nędza, to nie powód do zabójstwa. Zabija z premedytacją i z... lękiem. Rutynowanym zbrodniarzem nie był — sumienie zwycięża. Niepokój wewnętrzny, wynikający z poczucia własnej winy dręczy Raskolnikowa, ba! dręczyć będzie zawsze. Jest jak tropiony zwierz. Postąpił zgodnie z wewnętrznym nakazem moralnym: przyznał się. Kamień ciążący na jego duszy spadł od tej chwili, ale... ślad pozostawił na całe życie, przekreślone jedną chwilą anormalnego zamroczenia umysłu. Miłość i poświęcenie Soni, miały wywrzeć potężne wrażenie, tymczasem schodząc na plan dalszy, są wręcz niepotrzebne.

Całość — ciekawe studjum psychologiczne.

DODEK NA FRONCIE.

Film ten nie przyniósł poprawy w polskim filmie, oczekiwanej od tak dawna. Niestety! „Dodek na froncie“ jest filmem dla t. zw. „szerszego ogółu“. Nieudolna chęć zrobienia parodji z armji rosyjskiej, parodji, której ostrze zwróciło się przeciwko reżyserowi i jemu podobnym. Dziwną słabość czują polscy filmowcy do naszych wschodnich sąsiadów. Suchotniczy humor, „groszowe“ kawały w rodzaju „odsmażanych kotletów“ stanowić mają „okrasę“ filmu. Dymsza (jak zwykle) robi wrażenie łobuziaka, błazna, lubującego się w niewyczerpanym, arcyoryginalnym słowniku niezawsze smacznych i bardzo rzadko śmiesznych wyrażonek. Fotografja stara, zdjęcia Wywerki słabe (sic!), opracowanie niedbałe. Stanowczo za mało chóru Dana i Siemionowa. A szkoda! Mało szablonowy scenarjusz nie ratuje całości Po wyjściu z filmu pustka, jedno wielkie Nic. Zastanawiam się, jak można wypuszczać na rynek takie filmy. Brak kapitałów nie tłumaczy w tym wypadku krajowych wytwórni. Waszyński to zupełny analfabeta w kręceniu komedji.

S. Niekrasz. G. P. H. S.

Wiadomości bieżące.

— Z obchodu 2000-lecia urodzin Horacego w G. P. H. S.

Rylcem swym zbudował sobie monumentum trwalsze od spiżu, a nam twardszy od żelaza orzech poozstawił do zgryzienia.

I umarł.

Właściwie nie! Horacy non omnis mortuus est. Dzieła jego zachowały się wiecznie żywe. Żywe są jeszcze teraz w 2000-lecie jego urodzin.

— — — — — — — — — — — — — —

Dnia 15-go lutego 1936 roku odbył się w I-em gimnazjum państwowem im. H. Sienkiewicza poranek „horacjański“.

Na wstępie kol. Teclaff odczytał referat o życiu i twórczości wielkiego poety.

Referat ten był bardzo dobrze opracowany (coprawda gdyby trwał jeszcze 5 minut, mielibyśmy auream mediocritatem na sen).

Drugi zkolei wystąpił kol. Zbisławski, deklamując nam miłym basem wiersz... przyznam się ze skruchą, że zapomniałem już jaki.

Potem uczęstowano nas znów referatem. Tym razem nudziliśmy się solidnie. Owszem, referaty szkolne — nie można narzekać — lubimy, ale w lipcu, no i w sierpniu...

Referat był zresztą, muszę przyznać, dobry. Z głębokiego... zamyślenia obudził nas, volentes dormire, „Phoebus“ — wiersz w zbiorowej deklamacji klasy 8-mej.

Głośno krzyczeli, zapomnieli bowiem, że wieszcz Horacy głosił „Carpe diem“, co niekiedy znaczy — śpij, kiedy możesz.

Poranek zakończony został solowym śpiewem kol. Dąbrowy, rokującego wielką przyszłość, dzięki swemu mocnemu i ładnemu tenorowi. Echo chóru klasy 8-mej powtarzało ostatnie słowa solisty.

„Byłem szczęśliwszy od króla Persów“, gdy wszystko się skończyło, chociaż — tym razem mówię już całkiem poważnia — całość wypadła bardzo dobrze. *M. Kuźnicki.*

— Z życia Samopomocy ucz. G.P.H.S.

Na pierwszem zebraniu ukonstytuował się w następującym składzie Zarząd Samopomocy: prezes: kol. żesławski, v. prezes: kol. Centkowski, skarbnik: kol. Szpigiel, sekretarz: kol. Jaksęder.

Tradycyjnym zwyczajem urządzono dn. 29 września w parku 3-go Maja koncert orkiestry, połączony z loterją fantową. Dochód przezna-

czono na zapłacenie taksy administracyjnej za niezamożnych uczniów.

Drugą imprezą był wieczorek szkolny, który zgromadził „sfery towarzyskie" szkół częstochowskich. W miłym nastroju bawiono się do północy.

W początkach marca Samopomoc zamierza wystawić „Romantycznych" E. Rostanda. Próby w toku.

— Z życia Samopomocy Uczn. G.P.R.T.

Z początkiem roku szkolnego ukonstytuował się na zebraniu Rady Przedstawicieli Klasowych nowy Zarząd Samopomocy, który z jedną litylko zmianą na stanowisku vice-prezesa dotrwał do dzisiaj i obecnie przedstawia się następująco: prezes — kol. Król, vice-prezes — kol. Gołąb, sekretarz — kol. Migalski i skarbnik — kol. Organa. Z planu pracy Zarządu, odczytanego i przyjętego na drugiem zebraniu R. P. K., zrealizowano trzy punkty. Ożywiono działalność kółek, urządzono kiermasz dnia 9 i 10 listopada (z przyczyn od organizatorów niezależnych kiermasz ten został 11 listopada odwołany), oraz tradycyjny wieczorek taneczny 1 lutego. Z pożyczek i zapomóg Samopomocy skorzystało kilkudziesięciu kolegów. Niektóre kółka otrzymały subsydja. Świetlica uczniowska przy ul. Staszica jest utrzymywana na wyłączny koszt Samopomocy. Odbyły się cztery zebrania R. P. K., bardzo żywe i ciekawe. Wobec tego, że ogół kolegów interesuje się sprawami Samopomocy, frekwencja na zebraniach dobra.

M. M.

— Protokół z zebrania „Świata Szkolnego" dn. 24.I. - 36 r.

Pierwsze zebrania organizacyjne odbyło się dn. 24. I. 1936 r. Po sprawdzeniu listy obecnych p. dyr. Artymiak zagaił zebranie, nawołując do poważnego i umiejętnego podejścia do pracy tak ważnej, jak prowadzenie gazety międzyszkolnej. Następnie wybrany został przewodniczący kol. Żesławski, który powołał do protokółowania kol. Mirmanównę. Przewodniczący zarządził i przeprowadził wybór Komitetu Redakcyjnego, w którego skład weszli: kol. Żesławski jako redaktor, kol. Zieńciak — zastępca redaktora, sekretarz kol. Bilski i zastępca sekretarza kol. Mirmanówna. Sprawą administracji obiecał zająć się dyr. Artymiak, mający pomocnika w osobie kol. Żebrowskiego. Następnemi zkolei punktami obrad było omówienie wytycznych pracy. Kol. Strzelczyk zaproponował urządzenie imprezy dochodowej w celu zdobycia potrzebnych funduszów. Rzucono projekt podziału pisma na następujące działy: 1) liter.-naukowy (w tem poezja), 2) kronika, 3) sport, 4) dział rozrywkowy. Na tem zebranie, zaszczycone obecnością p. wizytatora, zostało zakończone.

Zkolei odbyło się zebranie samego Komitetu Redakcyjnego. Uchwalone zostało wysłanie do wszystkich szkół częstochowskich odezwy, nawołującej do nadsyłania artykułów i popierania pisma. Zająć się tem obiecał kol. redaktor. Prace mają przejść przez ręce p. prof. polonistów i zostaną nadesłane do 5-go lutego na ręce kol. redaktora do I gimn. Projekt podziału treści pisma po długich debatach został uchwalony w takiej formie, jaką podałam wyżej. — Uchwalono również zorganizowanie konkursu na najestetyczniejszą okładkę „Świata" — i uchwalono termin jego ukazania się na terenie szkół, mianowicie koło 15-go lutego. Zwołaniem następnego zebrania Komitetu na piątek 7-go lutego — kol. redaktor obrady zakończył.

w. z. sekretarza *Mirmanówna.*

— Ze sportu w szkołach średnich.

Z powodu niedopisującej zimy sport międzyszkolny koncentruje się w sali „Ogniska Niepodległości". Związek międzyszkolnego P. W. i W. F., łącznie z „Kołem sportowem" przy G. P. R. T., organizuje w najbliższych dniach rozgrywki między reprezentacjami szkół średnich w piłce koszykowej i siatkowej.

W celu podniesienia formy zawodników zorganizowano treningi i mecze-treningi.

Sądząc po dotychczasowej formie drużyn, można przewidzieć, że o tytuł mistrza w koszykówce rozegra się walka pomiędzy drużyną G. P. H. S. i G. P. R. T., które prawdopodobnie wystąpią w następujących składach: G. P. H. S. — Solecki, Stępień, Maciałowicz, Zieliński M. i Bączyński; G. P. R. T. — Skawiński, Bilski, Jełowicki, Bociański i Mielczarz. Drużyna II-go gimn. gra lepiej, lecz młody skład I-go gimn. czyni wspaniałe postępy.

Mistrzostwo w siatkówce prawdopodobnie zdobędzie Seminarjum, które może się pochwalić takimi zawodnikami, jak: Rostkowski i Lipiński.

Dotychczas rozegrano mecze-treningi:

KOSZYKÓWKA:

G. P. R. T. — Seminarjum 9:0 (do przerwy). II-gie gimn. z powodu skrócenia meczu nie wykazało swej dobrej gry, a Seminarjum okazało się zbyt słabym przeciwnikiem. Wyróżnili się: Skawiński z G. P. R. T. i prawy obrońca z Seminarjum.

G. P. R. T. — G. P. H. S. 26:11 (9:10). I gimn. do przerwy gra naogół lepiej, jednak po przerwie młodzi ich obrońcy nie mogą utrzymać fizycznie silniejszych napastników G. P. R. T. II gimn. dopiero po przerwie pokazało swą formę i łatwo wygrało z niezgraną drużyną I gimn. Gra prowadzona ostro. W drużynie zwycięzców wyróżnili się: Skawiński i Jełowicki, u pokonanych Solecki.

G. P. H. S. — Szkoła Handlowa 25:4 (17:2). Ofenzywa gry przechodzi w ręce lepszej technicznie drużyny I gimn. która na brutalną grę

Handlówki odpowiada ładnemi atakami. Obrońcy G. P. H. S. wykazali dużą poprawę techniczną i odporność na zmęczenie. Wyróżnili się w drużynie I gimn.: Solecki, Bączyński i M. Zieliński, a w drużynie Szkoły Handlowej niezły był lewoskrzydłowy i lewy obrońca.

SIATKÓWKA.

G. P. R. T. — Seminarjum 0:1 (13:15).
G. P. R. T. — G. P. H. S. 1:0 (15:10).
G. P. R. T. — Szk. Handlowa 0:2 (19:30)

Widz.

Odpowiedzi Redakcji.

Kol. Dębskiemu. G. P. H. S. Niestety, z nowelki skorzystać nie możemy. Za mało aktualna (lato!) i zbyt szablonowa. Prosimy o nadsyłanie innych prac.

Kol. Edwardowi „Abix“. G. P. H. S. Forma wiersza słaba. Wady i usterki w rytmie. Przyjąć nie możemy. Radzimy popracować jeszcze nad formą.

Kol. K. Centkowskiej. Nazaret. Wiersz p. t. „Spiżowe dzwony“ zamieszczamy. Drugi p. t. „Skała“ słabszy. Za dużo słów, w których gubią się myśli. Prosimy o przysłanie do następnego numeru innych swoich utworów.

Kol. M. F. G. P. R. T. Dziękujemy za artykuł p. t. „Dość płaczu“. Wierszy nie przyjmiemy. Forma nieco szwankuje, a i temat, szczególnie drugiego wiersza, zbyt banalny. Zdaje się, że kolega lepiej pisze prozą, niż wierszem. Prosimy o dalsze prace.

Kol. Ir. G. P. J. S. Artykuł po dokonaniu fachowych poprawek umieścimy w następnym numerze.

Kol. T. B. G. P. R. T. Z artykułu kol. p. t. „Moje refleksje“ nie skorzystamy. Temat poruszany przez kolegę jest w części opracowany w dwóch artykułach p. t. „Młodzież ma głos“ i „Nasze jutro“.

„Zwolennikowi Sportu“. „Dziwne przebudzenie“ — słabe pod względem formy — nie pójdzie do druku.

„Don“. Nie umieścimy z powodu braku miejsca.

Redakcja.

DO P. T. CZYTELNIKÓW!

Prosimy Sz. Czytelników o regularne uiszczanie opłat za prenumeratę pisma na ręce delegatów do „Świata Szkolnego“ swoich szkół w ciągu dni 8-miu od otrzymania egzemplarza. Nieuregulowanie należności w terminie opóźnić może wydanie następnego numeru.

DO DELEGATÓW SZKÓŁ DO „ŚWIATA SZKOLNEGO“!

Zwracamy się do wyżej wymienionych o wnoszenie opłat za prenumeratę w ciągu dni 15-tu od otrzymania pisma, do administracji „Świata Szkolnego“ przy gimn. R. Traugutta, Aleja Wolności nr. 13, na ręce kol. adm. J. Żebrowskiego.

Pozatem zawiadamiamy te szkoły, które wpłaciły pieniądze w związku z redagowaniem „Świata“ (pismo z dnia 5. II. 1936 r.), że kwoty te policzone są jako zadatek za otrzymane egzemplarze pierwszego nakładu. Prosimy więc o uiszczenie ewentualnej dopłaty w przepisanym terminie. Administracja.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

BILETY WIZYTOWE.

Fr. Sizelis.

Aleksander Ztyt.

Stan. Giora.

Cz. Giazera.

St. Kubej.

Jaki jest zawód tych panów?

SZARADA.

Pierwsze szukaj w alfabecie,
Drugie wspak, też tam znajdziecie.
Instrument do grania to jest czwarte — trzecie.
Czwarte — piąte to słuszność (o tem przecież wiecie).
Całość — szukaj w wojsku: to jest taka rada,
Która z osobistości najwyższych się składa.

REBUSIKI.

Przeczenie / Pytanie ; K / zaimek ; ·K (odwrócone) | i ;

T | karta ; i | ·W K. ; S | Ł ; zaimek / F.

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań Redakcja przeznacza nagrody książkowe drogą losowania.

Kurator: *Koło Polonistów.* Redaktor: *W. Żesławski.*

ZAKŁADY GRAFICZNE F. D. WILKOSZEWSKIEGO, III ALEJA Nr. 52, TELEFON 22-43.

ZAKŁADY GRAFICZNE F. D. WILKOSZEWSKIEGO, III ALEJA Nr. 52, TELEFON 22-45.